

Nieprzerwana lekcja (z) historii [TPCT 343]

W siedemdziesiąte urodziny Francisa Fukuyamy warto raz jeszcze zmierzyć się z ideami końca historii oraz końca „końca historii” – próbując zrozumieć, w jaki sposób swoiście Heraklityjscy lunatycy śnili własny sen, zamiast budzić się do wspólnej rzeczywistości i co dziś nas przywołuje z powrotem z tej ideologicznej drzemki.

Z niektórymi frazami jest tak, że nabierają one własnego życia. Zaczynają odrywać się od pierwotnego miejsca zamieszkania i przemierzać drogę z sobie właściwym tempem, barwą i brzmieniem. Jednocześnie, nadal wyrażają pewien stan, który – choć już znajduje się z dala od źródła – oddaje pewne sensy, czasem właściwe dla całej epoki. W polskiej przestrzeni przecież tak było ze sławetną „grubą kreską” premiera Mazowieckiego. Pierwotnie miała ona stanowić symbol zabezpieczenia nowoobranego rządu, wskazywać, że gotów on jest brać odpowiedzialność jedynie za decyzje, które sam podejmuje, by ostatecznie stać się frazą-symboliem, które opisuje zaniechania w mierzeniu się z komunistyczną spuścizną. W globalnym kontekście taką frazą jest „koniec historii”, oczywiście będąc (aby jeszcze bardziej skomplikować obraz) cytatem zaczerpniętym z Hegla, wybranym na tytuł książki przez jej autora – Francisa Fukuyamę. W jego zamyśle miała być to obrona demokracji liberalnej jako upragnionego końca w rozwoju doktryn politycznych i społecznych, ponieważ każda inna formuła nie jest w stanie wytrzymać w konfrontacji z tym modelem. Jednak i w tym przypadku wprowadzony na nowo do debaty politologicznej i filozofii polityki termin zaczął wywoływać ferment.

Koniec historii doczekał się swojego końca, a sędziwa nauczycielka postanowiła zrobić poważną repetę. Spójrzmy na dzieje samego pojęcia, jak i przemiany, której już nie odzwierciedla.

Fukuyama w eseju „Koniec historii?”, poprzedzającym słynną książkę, wyprowadzał tezę, że w obliczu zmiany paradygmatu w historii, zaczynamy dochodzić do swoistego politycznego eschatonu – wraz z nastaniem nowoczesności w wydaniu liberalnej demokracji, świat powinna czekać przemiana, która odwróci od nas cały dramat historii. Nie chodzi o to, aby po raz kolejny przebijać kołkiem osikowym niepopularną dziś hipotezę, ale aby trochę odtworzyć atmosferę, w której się te idee wykuwały. Mowa o schyłku komunizmu w epoce Gorbaczowa, wielkiej jesieni ludów i nastaniu jednobiegunowego porządku. Sam autor przekonywał wtedy, godząc w swoich oponentów: „Tak więc automatyczne zakładanie, że Rosja, uwolniona od swej ekspansjonistycznej ideologii komunistycznej, wróci do polityki carów z okresu przed rewolucją bolszewicką, jest dziwactwem. Zakłada się tym samym, że ewolucja świadomości ludzkiej na ten czas się zatrzymała oraz że Sowiet, przejmując nowoczesne idee w sferze gospodarki, w dziedzinie polityki zagranicznej wróci do poglądów, które reszta Europy od stu lat odrzuca jako przestarzałe”. Dziś wyjątkowo ponuro brzmią te zapisy nadto z siebie zadowolonej dziejowej chwili, która domagała się absolutyzacji.

Właśnie historyczna konfrontacja i jej aktorzy, stała się z kolei stanem, do którego odwołał się nauczyciel Fukuyamy – Samuel Huntington w swoim słynnym dziele „Starcie cywilizacji”. Była to swoista odpowiedź na idealistyczną wizję amerykańskiego filozofa. Huntington argumentował, że tymczasowy konflikt między ideologiami jest zastępowany przez starożytny konflikt między cywilizacjami.

Nie chodzi o to, aby po raz kolejny przebijać kołkiem osikowym niepopularną dziś hipotezę, ale aby trochę odtworzyć atmosferę, w której się te idee wykuwały

Dominująca cywilizacja decyduje o formie ludzkich rządów. A w kontekście dzisiejszego zarysowania się mocnych biegunów – cywilizacji Zachodu i Wschodu – racja tym

mocniej przeważa na stronę nauczyciela w konfrontacji z uczniem. Zresztą sam Fukuyama przyznał w marcu 2022 roku, że obliczu sytuacji, w której Chiny wspierają rosyjską inwazję na Ukrainę, a Rosja wspiera chińską inwazję na Tajwan „naprawdę żylibyście w świecie, który byłby zdominowany przez te niedemokratyczne potęgi. Gdyby Stany Zjednoczone i reszta Zachodu nie mogły tego powstrzymać, naprawdę byłby to koniec końca historii”. No cóż, świat i bez inwazji na Tajwan (choć i ten cień kładzie się nader często we współczesnych rozważaniach) – z wydarzeniami, które widzimy za oknem – zrujnował marzenie o jednostronnym ruchu historii. Wyłącznie dramatu dziejów, dzięki przełącznikowi zapewnionemu przez liberalną demokrację – także nie nastąpiło.

W siedemdziesiąte urodziny Francisa Fukuyamy warto raz jeszcze zmierzyć się z ideami końca historii oraz końca „końca historii” – próbując zrozumieć, w jaki sposób swoiście Heraklityjscy lunatycy śnili własny sen, zamiast budzić się do wspólnej rzeczywistości i co dziś nas przywołuje z powrotem z tej ideologicznej drzemki.

Jan Czerniecki
Redaktor naczelny

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury –
państwowego funduszu celowego.*



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego